

Upuaut - czyli wskazujący drogę

Był koniec marca, resztki śniegu zalegały jeszcze gdzieś po lasach, ale zima wyraźnie zaczęła dawać za wygraną. Rozpoczęły się święta. Wiosna ciągnęła mnie do lasu, postanowiłem pojechać w Bieszczady. Chciałem odpocząć od miejskiego zgiełku, powłóczyć się trochę bez celu i o niczym nie myśleć.

Góry przywitały mnie upragnioną ciszą i spokojem. O ile na niżu drzewa zdążyły już rozwinąć liście, bieszczadzkie buki nadal pozostawały uspione. Pogoda jednak dopisywała i zdawało się, że wiosenny wybuch zieleni jest już tylko kwestią dni. Zaczęłem swoją wycieczkę na północ od Otrytu. Perspektywa spędzenia następnego tygodnia na wędrownicy po lasach wprawiała mnie w szczególnie dobry humor. Zmierzałem na południe.



Fot. Jacek Więckowski, Wilczy Park Stobnica

Po dniu spędzonym na wędrownicy, wieczór miał zastać mnie w mizernym olchowym lasku, na dzień którego leżała kilkucentymetrowa warstewka zbitego, mokrego śniegu. Mając na uwadze to, że wiosenne noce nie należą do najcieplejszych (podobnie jak mój namiot) opuściłem szybko to miejsce w poszukiwaniu czegoś gęstszego, iglastego i z bardziej miękką, suchą podłogą. Włóczyłem się jeszcze chwilę, aż wyszedłem na rozległą polanę. Stała tam myśliwska ambona, i to nie to byle jaka. Wyścielona w środku wykładziną, z zamykanymi oknami i drzwiami oraz z sianem na podłodze. Postanowiłem skorzystać z okazji i przespać się w niej. Przynajmniej tego jednego wieczoru przestałem uważać myśliwych jedynie za bandę niewyżytych zboczeńców, a zacząłem doceniać ich kwalifikacje z zakresu budownictwa. Póki co, szczęście mi sprzyjało, nie wiedziałem nawet, jak bardzo.

Wszedłem do środka po solidnej drabinie. Rozpakowałem swoje rzeczy, ułożyłem karimatę i śpiwór, zatkałem sianem nieliczne dziury w ścianach. Nie było za wygodnie, ale najważniejsze, że ciepło. Wyjrzałem jeszcze przez okienko mojej kryjówki. Widok był rozległy, a mimo tego nigdzie nie było widać żadnych ludzkich osiedli. Niebo pozostawało bezchmurne i panowała niemal idealna cisza, jakby wszystkie ptaki gdzieś znikły. Przede mną rozciągała się duża polana, a dalej las. Słońce właśnie chowało się za horyzont. Siedząc tak zapatrzony w kończący się dzień, usłyszałem głosy kruków. Dochodziły z daleka, jednak z czasem stawały się coraz bardziej wyraźne. Kruków było bardzo dużo. Poza tym, jak to mają w zwyczaju, każdy z nich wydierał się wniebogłosem: „kraaa... kraaa to lecę jaaa... krrruk”. Jako że leciała ich cała grupa, wydawały się „krakać” jeszcze głośniej niż robią to lecąc w pojedynkę czy w parze. Zupełnie jakby chciały się nawzajem przekrzyczeć. Tak więc po kilku minutach, z ciszy zostało już tylko wspomnienie. Nie zdziwiła mnie obecność tych ptaków, gdyż wielokrotnie je w Bieszczadach widywałem. Za to nigdy nie widziałem ich razem w takiej ilości. Przeleciały całkiem blisko mojej ambony i jeden po drugim, zaczęły lądować w przeciwnym końcu polany. W końcu, gdy ostatni z nich usiadł na trawie pod lasem, nieco się uspokoiły. Był to dogodny moment, aby je policzyć. Okazało się, że na polanie siedziało ich aż dwadzieścia siedem. Owszem, dziwiła mnie ta ilość, ale jakoś tego wieczoru nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, o czym może świadczyć ich przybycie. Kiedy chmura czarnych ptaków usiadła na polanie, znowu nastąpiła cisza. Słońce już zaszło. Byłem zmęczony całodzienną wędrówką. Zamknąłem klapę w ambonie, przebrałem się i wśliznąłem do śpiwora. Nie musiałem długo czekać, aby zmorzył mnie sen.

Spałem twardo, ale było ciasno i od czasu do czasu budziły mnie zdrętwiałe od podkulenia nogi. Przewracałem się wówczas na drugą stronę, prostowałem zdrętwiałe kończyny zginając się jednocześnie w pasie i od razu zasypiałem. Przysięgłbym, że tamtej nocy, podczas jednego z takich przebudzeń, słyszałem na polanie jakieś dziwne odgłosy. Było to coś podobnego do szczekania lub skowytu. Słyszałem też odgłos racic uderzających o ziemię. Dźwięki te rozbrzmiewały w bezpośredniej bliskości ambony. Nie wiem, która mogła być wtedy godzina. Byłem zbyt zmęczony i zaspany, aby dotarło do mnie, co tam może się dziać. Pamiętam, że słyszałem to jakby przez sen, tak jak czasem słyszy się sygnał budzika, ale człowiek nie wie, czy to coś dzwoni we śnie, czy na jawie. Dlatego zignorowałem odgłosy i spałem dalej. Dziś bardzo żałuję, że wtedy tego nie sprawdziłem. Nie mam jednak pewności, czy to nie był sen.

W końcu zbudziłem się na dobre i leżałem chwilę spoglądając w sufit. W ambonie nadal było ciemno, ale przez małą dziurkę w ścianie wpadał do środka jasny promień słońca. Zorientowałem się, że to już rano. Wygrzebałem się ze śpiwora i nie chcąc zmarznąć, prędko zacząłem się przebierać. Wtedy właśnie usłyszałem jakieś dźwięki dochodzące z polany. Otworzyłem klapę, aby się temu przypatrzeć. W pierwszej chwili oślepiło mnie ostre światło słoneczne i minęła chwila, zanim mój wzrok się dostosował. Powoli zacząłem dostrzegać sylwety jakichś zwierząt.

Z początku nie mogłem uwierzyć i zaspany zastanawiałem się, czy aby na pewno nie śpię. Na polanie dojrzałem watahę wilków. Maszerowały spokojnie, jeden za drugim, nie widziały mnie. Stałem tak w samych majtkach i z jedną nogą w skarpetce, oglądając najpiękniejszy z widoków, jakim kiedykolwiek uraczyła mnie Przyroda. Osiem wilków, nie wiedząc o mojej obecności, bez cienia lęku spacerowało tuż przed moim nosem. Najpierw chwyciłem za lornetkę chcąc się im przyjrzeć jeszcze dokładniej, potem ocknąłem się i przypomniałem sobie, że mam aparat. Na polanie przebywały przez około minutę. Wyglądały bardzo dostojnie. Zeszły niżej do lasu olchowego, tego, w którym pierwotnie miałem nocować w swym namiocie. „Uff...” – pomyślałem sobie, że gdybym nie spał w ambonie, najpewniej nie zobaczyłbym ich.

Muszę nieskromnie powiedzieć, że miałem już wiele różnych spotkań ze zwierzętami. Jednak przyznam, że nic nie poruszyło mnie tak, jak widok tych ośmiu wilków. To było coś zupełnie innego niż wszystkie przeżycia, jakich dotychczas doświadczyłem w lesie. Były to wspaniałe, dumne

stworzenia, emanujące wolnością i dzikością.

Coś we mnie wtedy drgnęło. Przez tamtą krótką chwilę w pełni rozumiałem, jak wiele z prawdziwego życia stracił człowiek i przyznaję, że było to dosyć przykre. Co stracił? Niezależność, cenny spokój ducha, umiejętność przetrwania w świecie, w którym żyje, stracił wzrok będąc w najpiękniejszej ze świątyń. Sprzedał prawdziwe życie za zestaw plastikowych gadżetów i złudne poczucie bezpieczeństwa. Wyzbył się wszystkiego, co ma jakąś rzeczywistą wartość i stanowi o jakości życia. Cały tamten dzień chodziłem jak zauroczony, byłem jakby pijany. W pewnym sensie tamten dzień mnie zatrzał i do dzisiaj się nie wyleczyłem. Zdałem sobie później sprawę z tego, że to spotkanie zaszło w okolicznościach najlepszych, jakie tylko mogłem sobie wymarzyć. Bezludna okolica, przede mną pokryta szronem polana, wschodzące słońce i wzgórza pokryte lasem. Ech... czegoż chcieć więcej? Jednocześnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego stworzenia jakże podobne do psa sąsiada wywarły na mnie tak piorunujące wrażenie? Dzisiaj już wiem. Były mokre, rozczochrane i nieoswojone. Były DZIKIE. To dlatego. Dlatego, że powoli stają się duchami przeszłości. Dlatego, że dzikość staje się duchem, i dlatego, że za mało wierzę w duchy.



Fot. Maciej Narczyński

Wilki są wolne, a człowiek nie, być może to z tego powodu ci tak zwani myśliwi tak bardzo starają się o możliwość strzelania do nich – z zazdrości i z zawiści, z chęci kontroli. Z tych paru brzydkich powodów, które palą ich małe mózgi, tak bardzo, bardzo mocno. Każdy snob chciałby mieć u siebie taki klejnocik jak wilcza czaszka.

Bez dwóch zdań, wilk stał się dla mnie uosobieniem wolności i dzikości. Odporny na ludzką głupotę, przetrwał lata prześladowań. Niestety ludzie są równie odporni na prawdę i lekcje, jakie daje im Przyroda. Oby żadnemu z pasjonatów wilczych „kupek” i obroży z nadajnikiem nigdy nie udało się opracować precyzyjnej metody inwentaryzacji wilków. Pięćset dziesięć czy pięćset jedenaście? A może pięćset jedenaście i pół? „Pół” ładnie pasuje do wyniku, jest intrygujące. Czy ci badacze zdają sobie sprawę z tego, że nieznajomość liczebności wilków to argument przeciw wciągnięciu ich na

listę zwierząt łownych? Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że w przypadku ludzi poznanie czegoś jest niemalże równoznaczne z kontrolowaniem i zarządzaniem?

A może nie mają znaczenia wilki, a tylko same badania, granty, rozgłos i tytuły? Komu innemu te badania są potrzebne? Jeśli ktoś zapomniał, to przypomnę, że wilki potrzebują lasu i jeleni. Oczywiście, dzisiaj wszystko musi być racjonalne i logicznie uzasadnione (czytaj: rentowne), bo inaczej nie będzie miało prawa bytu. Dlaczego więc wilki miałyby „za darmo” zżerać jelenie? Danina w postaci czaszki musi zostać pobrana. Czy to, co robią ludzie, jest dla kogokolwiek racjonalne w długoterminowym trendzie (długoterminowy to taki, który wykracza poza długość twojego życia, ewentualnie poza czubek nosa urzędnika na stanowisku decyzyjnym)? Najwidoczniej człowiek nie spocznie, póki wszystko nie zostanie zmierzone, zważone, policzone, zaetykietowane i zaklasyfikowane. Wszystko musi mieć swoją szufladkę i zasilać czyjś budżet. Szufladkę w biurku, za którym siedzi jedyny prawowity dziedzic Ziemi - biały człowiek, piewca humanizmu, menda w ziemskim łonie. Racjonalista, dla którego współistnienie z innymi stworzeniami jest nieracjonalne. Cały ten mistyczny świat degraduje się do rangi targowiska. To bardzo przygnębiające. To tak, jakby życie sprowadzało się jedynie do jedzenia, srania i sikania. To ordynarne? Bez wątpienia.

Wskazujący drogę - to tłumaczenie staroegipskiej nazwy wilka. Szybki, zwinny, inteligentny, zarazem troskliwy i opiekuńczy. Oto cechy, które czynią wilka wilkiem. Słuchając niektórych wypowiedzi o nim, boję się pomyśleć, co nas czyni ludźmi...

Maciej Narczyński